

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Wnuczka Sobieskiego u wód włoskich

Najjaśniejsza Republika Lucca poruszona została wiadomością, iż w lipcu 1722 przybędzie na kurację do słynnej już w onych czasach miejscowości kuracyjnej Bagni di Lucca — sama królowa angielska, a wkrótce potem i jej najdostojniejszy małżonek, król angielski.

Sam fakt przybycia tak dostojnych gości nie był czemś niezwykłym: Bagni di Lucca gościły u siebie już nieraz najznakomitsze osobistości i głowy królowane. Ale tym razem sprawa przed stawiała się odmiennie: ową parą „królewską” byli bowiem Jakób Stuart, pretendent do tronu angielskiego i Maria Klementyna Sobieska, wnuczka zwycięzcy z pod Wiednia.

Jakób Stuart, tytułujący się Jakóbem III., królem Anglii, Szkocji i Irlandii, pędził od najmłodszej młodości smutny żywot wygnaniec, jako syn Jakóba II., którego rewolucja pozbawiła tronu, — na którym zasiadł król Jerzy I. z dynastji hanowerskiej.

Nie wyrzekł się jednak swych praw do korony młody Stuart. Po małżeństwie z Marią Klementyną, najmłodszą córką królewicza Jakóba, — młoda para znalazła gościnę w Rzymie Papież Klemens XI. przyjął ich niesłychanie życzliwie, z honorami, należnemi paupracym, — przydzielił im gwardję honorową, oddał do ich dyspozycji pałac Mufti i wyznaczył im apanaże w wysokości 12 tysięcy skudów rocznie.

Pobyt pary królewskiej w Bagni di Lucca wypadł na ich najpiękniejszy okres życia. Maria Klementyna przybyła tam dnia 23 lipca 1722 ze swym pierwotnym synkiem Karolem Edwardem, w towarzystwie nielicznego dworu, składającego się z jakichś dziesięciu osób.

Zamieszkała w przygotowanym już zawczasu pałacyku należącym do kardynała Bonvisi. Z chwilą przyjazdu jej małżonka wprowadzoną w pałacu cały ceremoniał dworski, a na urządzanych tam przyjęciach zjawiali się członkowie całej arystokracji miejscowej i okolicznej.

Władze republiki jednak nie były zbyt zachwycone tą wizytą. Wedle przyjętych podówczas zwyczajów koszty pobytu panujących bawiących w gościnie w obcym państwie ponosiło w całości odnośne państwo.

Ale w danym wypadku kwestja finansowa grała podrzędną rolę. Jak wynika z aktów, przechowanych dotąd w archiwum miasta Lucca, wchodziły tu przedewszystkiem w rachubę pierwszorzędne kwestje polityczne.

Rząd małej republiki zmuszony był od pierwszej chwili przybycia pary królewskiej roztoczyć nad nią tajną a baczna opiekę. Chodzili bowiem wieści, że Jakób III. komunikuje się pokryjomu ze swymi przyjaciółmi politycznymi przebywającymi w Liworno, że zamierza

wsiąść w Liworno na okręt i z pomocą krążącej w pobliżu floty hiszpańskiej wylądować w Anglii na czele siły zbrojnej, by rzucić z tronu Jerzego I. i zająć jego miejsce.

Trzeba więc było otoczyć Jakóba III. całą siecią tajnych agentów, którzy informowali rząd republiki o każdym kroku pretendenta. Trzeba było równocześnie czuwać bacznie nad osobistym bezpieczeństwem dostojnego gościa, gdyż w okolicy kręcili się emisariusze króla Jerzego I., zdecydowani na wszystko, byleby pokrzyżować ambitne plany pretendenta. Mówiło się głośno o przyjeździe do Turynu lorda Moleswortha, który zamierzał udać się do Bagni di Lucca z bardzo podejrzaną misją.

Toteż rząd republiki nie zaniedbał żadnej ostrożności: kontrolowano surowo wszystkich cudzoziemców przybywających do zdrojowisk, a właścicielom domów zabroniono kategorycznie wyjmowania komukolwiek mieszkań bez zgody Wielkiej Rady.

Ostrożności te — jak się pokazało

— były uzasadnione. W archiwum miasta Lucca znajdują się tajne raporty, iż w gospodzie „Campana” zamówione były konie i pojazdy do dyspozycji króla Jakóba III., z tem, aby były gotowe wyruszyć każdej chwili, na pierwsze polecenie.

Widocznie Jakób III. również był poinformowany o tych wszystkich środkach ostrożności, — pobyt jego bowiem w Bagni di Lucca nie zaznaczył się żadnym wypadkiem.

Para królewska opuściła zdrojowisko w połowie września, udając się z powrotem do Rzymu. Żegnani byli uroczystie, z całym ceremoniałem dworskim. Odetchnęli z ulgą ojcowie republiki. Ale nie na długo.

Bo oto król angielski Jerzy I. wystosował do republiki notę dyplomatyczną utrzymaną w bardzo ostrym tonie, grożąc nawet represjami w formie zamknięcia importu słynnych jedwabii i oliwy lukańskiej do Anglii.

Król Jerzy I. czuł się dotknięty tem,

że republika przyjmowała pretendenta i jego małżonkę z honorami, należnemi tylko prawdziwym władcom. Co więcej: władze republiki pośredniczyć miały w przesłaniu do Londynu proklamacji Jakóba III., w której reklamował swe prawa do korony!

Republika posiadała jednak zręcznych dyplomatów, — dzięki czemu cały zatarg został wkrótce załagony.

Nie doczekali się ani Jakób III., ani Maria Klementyna korony królewskiej. Nieszczęśliwe też było pożycie małżeńskie tej pary: Maria Klementyna, oburzona i dotknięta do głębi niewiernością swego małżonka, schroniła się w mury klasztoru św. Cecylii na Zatybrzu i tam życia dokonała.

A Jakób III., dopiero po zgonie, w roku 1766, przystrojony został w insygnia władzy królewskiej i pochowany z honorami należnemi panującym.

(kr.)

Z listów Katarzyny Mansfield

(Katarzyna Mansfield, ur. 1890 w Wellington w Nowej Zelandji, tam spędziła młode lata. Przesiedliwszy się do Anglii, wyszła za Johna Middleton Murry, krytyka literackiego, z którym wydawała miesięczniki jak Rhythm i Athenaeum. Równocześnie pisała świetne nowele, które zapewniły jej wybitne miejsce w literaturze. Zbiór Bliss (Radosne upojenie) wyszedł w r. 1920, Garden Parthy w 1922, The Doves' Nest (Gniazdo gołębi) w 1923, zbiór wierszy i inne utwory pośmiertne w r. 1924. Ostatnich kilka lat życia przedwcześnie zmarłej, a bardzo utalentowanej pisarki wypełnia walka z gruźlicą, której uległa w roku 1923. Jej nowele odznaczają się subtelną siłą i wykończeniem, często wydobywają silny efekt z drobnego wypadku, lub pozornie nie znaczącego szczegółu codziennego życia. Nadto wydał mąż pośmiertnie Dziennik i Listy Katarzyny. I tu spotykamy te same zalety. Suchotnica, zmniejszająca wciąż miejsce pobytu z polecenia lekarzy, pisywała do męża, przyjaciół i przyjaciółek opisując ludzi, przyrodę, swoje nastroje itp. Na każdym kroku przebija się poczucie piękna, zmysł spostrzegawczy zdolność odczuwania drobnych zdarzeń, gorąca chęć życia i pracy, wreszcie właściwe gruźlikom złudzenie. Można przewidywać, że „Listy” Katarzyny Mansfield staną się klasyczną książką angielską).

Z Portland Villas,
Hampstead. Londyn.
17 sierpnia 1919.

Do Lady Ottoliny Morrell.

Cóż za miedorieczna sytuacja! Mój lekarz silnie naciska na mnie, ażebym nie poddawała się ludziom, ażebym nie szła do sanatorium — mówi, że opuściłabym je do 24 godzin i byłby to „wysoce niebezpieczny eksperyment”. Widzi pani, wyjaśnia, „jest przecie

pani praca która, jak wiem, stanowi życie pani. Gdyby panią od niej powstrzymali, umarłaby pani — a powstrzymaliby napewno. To, co mówię, brzmiałoby bezsensownie w uszach jakiegoś Niemca specjalisty, lecz ja leczę panią od roku i wiem swoje”. Gdybym to usłyszała, z trudem zapanowałabym nad impulsem powiedzenia doktorowi, czem jego słowa są dla mnie. Były oddechem, życiem — lekarstwem, wszystkim. A więc ostatecznie włoska Riviera, pokojówka jadąca ze mną i mała willa. — Zdaje mi się, że choroba i znośnienie depresji ludzi otaczających mnie doprowadziły mnie prawie do szaleństwa. Poprościu wyrzekłam się nadziei. Teraz znów jestem pełna nadziei i wyjadę w trzecim tygodniu września. M. (Murry) pojedzie naprzód w pierwszym tygodniu września i znajdzie mi willę, a potem ja się wybiorę. To rozkoszna ulga. I pomyśleć, że będzie słońce i jeszcze jedno lato i nieograniczony czas na pisanie. To najbliżej sąsiedztwo nieba.

Życie jest tak dziwne — tak pełne nadzwyczajności... Dziś, tego popołudnia, czekając na mego ojca, który zapowiedział się na herbatę — czułam, że byłabym zdolna — jedynie i wyłącznie z tego oczekiwania — zrobić całą książkę. Zaczęłam myśleć o tym całym czasie, przez jaki „czekało się” na tyłu dziwnych ludzi i rzeczy — o szczególnych cechach, jakie to ma — o nieznośnem cierpieniu przytem i o niesamowitem poczuciu, że jest drugie ja, które jest poza nami i nie robi nic — nie prócz przysłuchiwania się — a drugie skomplikowane ja wciąż idzie naprzód, jak zegar — a potem jest ta czujna, snu nieznająca istota — czekająca na możliwość skoku. To jak czarujące zwierzę, a ten, kto stanie się jego pastwą.

Wszyscy mnie opuścili. Nie mam wiadomości od żadnej żywej duszy.

Casetta Deernholm. Ospedaletti,
29 września 1919.

Do J. M. Murry'ego.

Przyszli robotnik, który mówi, że dziś skończą swoją część roboty, a potem będzie tylko sprawa quelques pous skierowanie tu wody. Zadziwiający ludzie! Znowu letni dzień! Gdy fale łamią się, są pełne złota, jak fale, które widzieliśmy w Bandol. Dziś wczesnym rankiem (o 6.30) morze było różowe, blade różowe — nigdy go przedtem takiem nie widziałam — a nie było prawie wietrzyka... Wczoraj wieczór pracza przyniosła twoją bieliznę (tak, ta zmiana tematu nie jest w gruncie rzeczy nonsensowna. Różowe morze wydawałoby mi się jeszcze cudniejszem, gdyby na niem kołysała się łódka z twoją niebieską koszulą zamiast żagla). Właśnie włożyłam bieliznę między swoją — razem z ciemno — różowymi naperfumowanymi woreczkami. W twoich manszetach są malutkie niby spinki, które zrobiły na mnie duże wrażenie. Oczekują tu na ciebie.

Plaga owadów jest wprost okropna. Nie chronią przed nimi żadne siatki, ani zasłony. Malutkie, prawie niewidzialne owady, te takie straszne, nazywają się, jak mi mówi pracza, pape-techucos.

Zucchini to nie ogórki, to rodzaj bladej, długiej marchwi. L. M. (pokojówka) wczoraj kupiła mi jedną. Dłaczegożbyśmy nie mieli hodować ich u siebie w Sussex? Tesknienie za tem, aby wyostać się z ogrodu i przejść się trochę po ospedaletti. Wydaje mi się jakby codzień powstawał nowy sklep, a rzeźnik jest najwidoczniej fascynującym człowiekiem. Lecz na razie będę trzymała się ogrodu i pozbędę się kaszlu. Czuję się cudownie zdrowsza, cudownie silniejsza. Czasami czuję, że chodzę jak normalny człowiek — całkiem lekko i szybko. Wkrótce tak będzie stale.

Oliwki dojrzwały i zaczynają spadać.

T. W. T.

Dur powrotny - choroba biedaków

W roku 1920 srożyła się w Polsce rzadko stosunkowo notowana choroba, mająca wszelkie cechy groźnej epidemii. Zaczynała się ona alarmująco: dreszcze, silna gorączka dochodząca do 40—41°, wymioty, bóle głowy, silne bóle mięśni, zwłaszcza w okolicach stawów, powiększenie śledziony.

Początek zatem niejako „klasyczny” przy wszelkich ostrych chorobach zakaźnych, jak: dur plamisty, malarja, czy też „febris undulans”. W dalszym przebiegu choroby jednak notowano duże, charakterystyczne różnice. Mianowicie po 5—6 dniach wszystkie objawy nagle ustępują, temperatura spada nawet poniżej normalnej (do 36—35°).

Pacjent wydaje się na drodze do wyzdrowienia. I oto po jakichś 5—8 dniach wszystko zaczyna się dać capo, co prawda, zazwyczaj już w nieco złagodzonej formie. Znowu wysoka gorączka, — następująca bez śladu po paru dniach. I ponowny atak. Nawrotów takich bywa zazwyczaj trzy lub cztery, notowano ich jednak niekiedy nawet ośm.

Z tego względu trudno jest przewidzieć z góry czas trwania całej choroby, która dla swych charakterystycznych objawów otrzymała nazwę „duru powrotnego” (febris recurrens).

Choroba ta znana oddawna, poznana jednak dokładnie i zdefiniowana ostаточно dopiero w roku 1842, — a to dzięki odkryciu wywołującego ją zarazka zwanego spirochetą Obermeieri.

Roznosicielem tego zarazka jest wesz ludzka, — a zakażenie następuje w sposób dość niezwykły, a mianowicie nie przez ukąszenie, jakby się zdawać mogło. Człowiek niejako sam własnoręcznie powoduje zakażenie, drapiąc się w miejsce ukąszone lub rozgniatając pasczyta, dzięki czemu zarazka dostaje się przez skórę wewnątrz organizmu ludzkiego.

Już ta okoliczność, że wesz jest roznosicielem zarazków, daje nam dostateczne wskazówki, gdzie i kiedy dur powrotny znajduje odpowiednie warunki i podłoże rozwojowe. Ogniska tej choroby znaleźć można w krajach o niskiej kulturze, nie posiadających odpowiednich warunków sanitarnych, gdzie ludność nie przestrzega zasadniczych przykazań higieny osobistej.

Jest więc dur powrotny niejako chorobą endemiczną w Bośni, w Rosji, na Krecie, w Azji mniejszej, Indjach, Persji, w północnej Afryce i w krajach Ameryki środkowej. Nigdzie jednak nie przybiera ona większych rozmiarów. Trzeba dopiero specjalnie sprzyjających warunków, by przerodziła się ona w prawdziwą epidemię, powodującą tysiące ofiar.

Szalała ona tedy w czasie wielkiej wojny, kiedy żołnierz, niezawsze należycie odżywiany, wyczerpany fizycznie olbrzymimi wysiłkami, stawał się mniej odpornym i łatwiej ulegał zakażeniu od swych towarzyszy broni, przybyłych z okolic, gdzie dur powrotny panował endemicznie.

Niemniej korzystne warunki dla wybuchu epidemii przedstawiał okres wojenny, zwłaszcza w krajach, które były terenem dłuższych walk. Wojska swoje czy obce, stojące na kwatery przynosiły ze sobą zarazki choroby. Cokolwiek, choćby prymitywnej higienie, zwłaszcza wśród ludności wiejskiej nie można było wówczas nawet marzyć. Dodajmy do tego nędzne warunki mieszkaniowe i liche pożywienie. — a łatwo zrozumieć, że zarówno w okresie działań wojennych jak i bezpośrednio po na-

staniu pokoju, dur powrotny szerzył się z zastraszającą szybkością.

W samej Polsce, w pierwszym półroczu r. 1920 zanotowano blisko dwieście tysięcy wypadków tej choroby, — mającej na szczęście przebieg stosunkowo łagodny. Wypadki śmierci, procentowo nieliczne, dotyczyły osobników źle odżywianych, osłabionych, a więc mniej odpornych na wszelkie choroby.

Jak z powyższego wynika, walka z durem powrotnym jest stosunkowo łatwa, wymagająca raczej leczenia profilaktycznego. Ścisłe przestrzeganie hi-

gieny osobistej i czystości jest tu najskuteczniejszą bronią. Bo skoro zniknie wesz, roznosiciel tej choroby, zniknie i niebezpieczeństwo infekcji.

Jest jednak jeszcze inna odmiana duru powrotnego, zwana durem hiszpańsko - afrykańskim z powodu swego umiejscowienia. Wypadki tej choroby obserwowano zarówno w Hiszpanji, jak Algierze i Marokku.

Nie różni się ona w przebiegu swym prawie niczem od zwykłego duru powrotnego; zasadnicza jednak różnica polega na tem, że roznosicielem jej nie jest wesz, lecz pewien gatunek kleszczy.

Choroba ta nie jest dotychczas dokładnie zbadana, zwłaszcza, o ile idzie o jej etiologię. Skoro jednak uprzytomnimy sobie, że i straszny tyfus plamisty przenoszony bywa również przez wesz (odzieżową) oraz przez specjalny gatunek kleszczy, żyjący w Ameryce północnej („tyfus Gór Skalistych”), — mimowolnie nasuwa się przypuszczenie, że istnieje jakieś bliskie pokrewieństwo między wszystkimi temi mikroskopijnymi żyjątkami, które z roznosicieli swych (wszy i kleszczy) dostają się do organizmu ludzkiego.

W tym kierunku nauka lekarska, bakterjologia, biologia i fizjologia, mają jeszcze szerokie pole do badania.

(r.)

O charakter Kleopatry

Postać Kleopatry była po tysiąc razy odtwarzana w literaturze. Przeważnie pojmowano ją jako wielką miłośnicę i hedonistkę, która nie doszła do roli królowej, chociaż długo umiała dzięki swemu sprytowi dawać sobie radę z trudną sytuacją Egiptu, leżącego na drodze rzymskiej ekspansji i wciągającego ustawicznie w wewnętrzne walki Rzymu. Przecież w wojnie między Antoniuszem, a Oktawianem (Augustem) zepsuła Kleopatra plany swego kochanka kolując uporem i niefortunnymi radami, a w decydującej chwili pod Akcjum zabrała jej odwagi — uciekła na czele swych sześćdziesięciu okrętów, powodując klęskę i zgubę triumwira, tem samem zaś własną. Dopiero pod wpływem niedoli zdobyła się na akt

dumy i godności monarszej, którym było samobójstwo. To wychwalał nawet poeta Augusta Horacy, zwąc królowę egipską naprzód „fatalnym potworem”, później „niewiastą wyniosłego ducha”.

Tak mniej więcej ujął charakter Kleopatry i Szekspir w swej wspaniałej tragedji. Jego królowa egipska ma w sobie nieprzebrane zasoby niezdrowego wdzięku, usidlającego mężczyzn, równocześnie zaś jest nieszczerą i w gruncie rzeczy samolubną. Dlatego musi zginąć, lecz ginie po królewsku.

Od czasu powstania szekspirowskiej Kleopatry trudno było w zasadniczych rysach odstępować od tego obrazu. Kurzili się o to tylko najśmielsi. Niezawsze im się to jednak udawało. Bernard Shaw w przedmowie do „Cezara i Kleopatry”

po prostu rzuca rękawicę Szekspierowi, a przecie w postaci królowej niedaleko odbiega od niego. Raczej wykreca się od porównania, niż je przyjmuje, bo gdy Szekspir przedstawił ostatnie lata królowej on przedstawia ją jako dorastającą dziewczynkę — i nic nie przeszkadza nam myśleć, że dziewczynka ta mogła stać się właśnie Kleopatą szekspirowską.

Lepiej nieco powiodło się Norwidowi. U naszego poety wielką miłością życia Kleopatry był Cezar. Płytki Antoniusz jest dla niej tylko narzędziem w grze politycznej. Ona bowiem reprezentuje myśl historyczną. Jest bojowniczką Wschodu w walce z Zachodem, gdyż znenawidziła Rzym za mord Cezara. Wygrałaby te zapasy, gdyby znalazła zdolniejszego pomocnika, ale Antoniusz nie dorósł do zadania i zginął oboje.

Za Norwidem mniej więcej oświadczył się autor nowej książki o Kleopatrze, Gaston Delayen. Wedle niego miłostki królowej służyły tylko jej celom politycznym.

Jak wiadomo, grecka dynastia Ptolemeuszów, zajmująca tron egipski, hołdowała prawem uświęconemu kazirodztwu, zawierając związki małżeńskie tylko we własnym obrębie. Często brat żenił się z siostrą. A przecie w postaci Kleopatry nie widać degeneracji. Odznaczała się pięknoscia, rozumem i energią, zachowywała urok kobiecy do śmierci tj. do 40 roku życia (a była przecie kobietą wschodnią), miała dużo dzieci. Delayen przypuszcza, iż była pochodzenia semickiego. Królowa jednak uważała się za Egipcjanke, używała języka egipskiego, przestrzegała egipskich praktyk religijnych i ceremonjału faraonów, nosiła odznaki córki słońca. Była bowiem egipską nacionalistką i wedle francuskiego uczonego uważała za swą misję obronić kraj od zaboru.

W tej myśli nawiązała stosunek naprzód z synem Pompejusza, później z Cezarem, wreszcie z Antoniuszem. Szło o rozdzielenie obozu nieprzyjacielskiego i zwrócenie miecza jednego Rzymianina przeciw drugiemu. Gdy Antoniusz pod Akcjum bliski był pokonania Oktawiana, Kleopatra wycofała swą flotę z bitwy, bo zwycięstwo jej kochanka zjednoczyłoby było cały świat pod jego berłem, a Egipt musiałby być stać się wtedy prowincją rzymską. Przeliczyła się jednak co do Oktawiana, którego niedoceniła. Po przegranej pod Akcjum niepodobna już było obronić Egiptu i królowa nie przeżyła utraty niepodległości.

Wszystko to w ujęciu Delayen'a jest logiczne i prawdopodobne, ale wątpię, na leży, aby pogląd jego przyjął się, gdyż dotychczasowy zbyt silnie zapuścił korzenie w umysłach ludzkich.

W. T.

PAUL FORT

„Monsieur le curé”

Gdy ziemia spracowana fioletem się mieni
w pogodny zachód słońca tej wczesnej jesieni,
nasz jegomość, ksiądz proboszcz wioszcyny rybackiej,
staruszek, mimo brzuszka, jeszcze rzeźki, chwacki,
idzie z brewjarzem w rękę (na otwartej stronie
blask gasnącego słońca purpurą zapłonę)
idzie, a oczy jego, modre jak bławatki,
miłośnicie się zwracają wciąż do ziemi-matki.

Tak on wędruje co dnia po jednej ścieżynie,
póki noc czarnym płaszczem ziemi nie spowinie,
jak biblijny wędrowiec kroczy, zamyślony,
— szumią nad nim w wieczornym wietrze drzew korony.

Nasz ksiądz proboszcz... na własne oczy go widziałem
i kocham go, staruszką, kocham sercem całym.
Lecz w tych oczach, gdy złocą się wieczorne zorze,
wyczytałem tęsknotę, — tęsknotę za morzem.
(Bo wiem, że ten staruszek, zażywny, rumiany,
w młodości inne zgoła roił sobie plany:
kochał morze — i pragnął zostać marynarzem...)

Przyjdźcie kiedy o zmroku, — ja go wam pokażę,
jak mu w błękitnych oczach płomień się zapali,
gdy posłyszysz szum groźny wzbierającej fali,
jak mu łzy lśnią na twarzy, ciekną po sutannie,
kiedy fal białe grzywy wałęsają się zachłannie
na przeorane niwy, na tę ziemię czarną!
Rzuca brewjarz, kapelusz — pragnąłby ogarnąć
to morze ukochane swojemi ramionami
biegnie mu na spotkanie przez czarne zagony
biegnie ku temu morzu, co go zawsze wzywa!

Tam ujrzyjecie, co znaczy miłość, wiecznie żywa!

przełożył z francuskiego

KAZIMIERZ RYCHLowski

Zwyczaje i dziwne z życia pajaków

W kątach i znikach naszych mieszkań, poza ramami obrazów, luster i t. p., spotykamy bardzo często misternie splecioną siatkę, zwisającą niekiedy w brudnych, szarych płatach, t. zw. pajęczynę.

Pajęczyna ta, często stająca się utrapieniem gospodyni domu, jest wytworem bardzo miłych zwierzątek-pajaków, a w tym wypadku pajaka domowego (*Tegenaria domestica*). Ciekawy ten owad, gnieźdzący się bez pardonu, na prawach sublokatora, oraz wiele jego odmian, zasługuje na uwagę ze względu na swój sposób życia i zwyczajów.

Warto też mając takiego nieproszonego gościa, zostawić go w spokoju, ograniczając się jedynie do roli obserwatora. Zaręczam, że wiele ciekawych zjawisk można wówczas zaobserwować, wcale się nie nudząc. Kiedyś, w dzieciństwie, czytając opowiadania przyrodnicze Fabre'a, nie mogłem zrozumieć, jak można poświęcić całe życie badaniu owadów. Dziś rozumiem doskonale, i choć sam wprawdzie nie posunąłbym się tak daleko jak Fabre, niemniej jednak posiadam sporą „rodzinkę” *Tegenaria domestica*, której poświęcam dziennie przynajmniej pół godziny.

Zajmijmy się życiem i zwyczajami innych pajaków, które zaobserwował znakomity przyrodnik francuski Jean Henri Fabre.

Fabre, świetny znawca owadów, sporządzenia swe opiera na podstawach ściśle naukowych, przez co są one niezmiernie cenne i ciekawe, oraz rzucają światło na pełną tajemnicę twórczość przyrody.

Jedną z ciekawych odmian pajaka, jest pajak paskowy (*Epeira fasciata*). Nazwę swą bierze od ubarwienia odwłoku, na którym widnieją kolorowe pasy, żółte, czarne i srebrzyste. Odwłok wielkości orzecha laskowego, zaopatrzony jest w cztery pary długich nóg, poznaczonych w ciemniejsze i jaśniejsze obrączki. Końiec odwłoku zaopatrzony jest w brodawki, t. zw. kądziółki, z których wypływa ciecz twardniejąca na powietrzu w postaci delikatnych nitczek.

Trzeba wiedzieć, że odwłok pajaka jest niejako fabryką delikatnej przędzy, którą wyrabia pajak w licznych gruczołkach przednich, mieszczących się wewnątrz odwłoku.

Epeira fasciata, w odróżnieniu od pajaka domowego, rozpina swą sieć, na polach wśród traw, częściej zaś wśród krzaków i drzew, oraz szuwarów wodnych. Siatkę pajęczą snuje w kierunku pionowym, zaczepiając ją do gałązek przy pomocy wielkiej ilości pojedynczych nitki. Przypatrzmy się pracy pajaka nad budową sieci. Wieczorną porą, wychodzi pajak z ukrycia i wyszukawszy sobie odpowiednią gałązkę, wydzieła z kądziółki lepka ciecz, poczem raptownie opada. Zdawałoby się, że ogromny w stosunku do nitki ciężar pajaka, sprawi, iż nitka się urwie, a pajak zleci „na łeb” na ziemię. Jednak tak nie jest. Zaczepiwszy nitkę do gałązki, pajak opada powoli w dół, regulując szybkość opadania przy pomocy brodawki przedniej, zwięzając lub rozszerzając jej otwór, w miarę swego uznania. Poza tem nóżka reguluje grubość nitki, dbając o to, by ta była równomiernie gruba. Kilka cm. nad ziemią, kończy pajak swoją wędrówkę i na wysnutej nitce zaczyna wspinać się do góry, wyrzucając równocześnie tylnymi łapkami jedwabną nitkę z kądziółek.

W ten sposób wzmacnia wysnutą poprzednio pajęczynę i robi podwójną nitkę

z pętla na końcu. Doszedłszy do gałązki, umacnia koniec nitki z pętla, poruszony przez wiatr, zaczepi się o jakąś gałązkę czy coś podobnego. Wówczas zaczepioną „linę” przebiega kilkakrotnie, wysnuwając za każdym razem nitkę, którą na końcach „liny” przytwierdza do gałązek.

Tak więc powstaje nitka podtrzymująca niejako pomost, z którego zacznie pajak budować rusztowanie sieci. Z pomostu, przeprowadza pajak kilkanaście nitki w różnych kierunkach, umocowuje je gdzie się da. Przecznice te stanowią właściwe rusztowanie, w którym pajak zbuduje nadzwyczaj prawidłową sieć-si-dła, stwarzając przedtem jeszcze płaszczyznę o kształtach nieforemnych. Budowę prawidłowej sieci kończy nasz znajomy zygzakowatą szeroką wstęgą z jedwabiu, która nadaje sieci większą trwałość.

Sieć pajęcza różni się znacznie od rusztowania. Nitki jej są nadzwyczaj elastyczne, połykające w słońcu i lepkie, podczas gdy nitki rusztowania, są nieelastyczne i pozbawione lepu.

Ciekawie przedstawia się nitka z sieci pajęczej pod mikroskopem.

Przedewszystkiem nie jest to włókno proste, lecz ciasno skręcona sprężynka z nadzwyczaj cieniutkiej rurczki wypełnionej lepka gęstą cieczą, podobną do gumy arabskiej. Jeżeli popatrzymy na sieć pajęczą, trudno naprawdę wyobrazić sobie, jak doskonałe formy wytwarza przyroda. Człowiek nigdy nie mógłby się zdobyć na wytworzenie czegoś podobnego.

Lep zawarty w rurczkach skręconych spiralnie, przenika przez ich ścianki, dzięki czemu sieć staje się lepka. Sprężynowe zaś zwoje włókna nadają mu elastyczność.

Odkrycie lepu we włókna sieci, obala przypuszczenie, jakoby sieć sama była narzędziem łowieckim pajaka. Jest ona raczej „rewirem”, na którym pajak poluje. Bezpośrednim narzędziem łowów jest lep, bowiem wydzielony przez włókna, czyni sieć lepka. W skutkach, straszną ta broń pajaka jest niezrównana. Najlżejsze dotknięcie się jakiegoś owada lepkiem włókna, jest zgubne dla niego. Siatkę można porozrywać, ale lep nie puści. Niebaczna ofiara własnej nieostrożności staje się łupem pajaka. Pomost, oraz środek sieci, zbudowane są z włókien nie posiadających lepu. podobnie jak całe rusztowanie.

Mimowoli nasuwa się pytanie, dlaczego lep nie działa na pajaka? Widzimy jak pajak przebiega swobodnie sieć we wszystkich kierunkach zupełnie swobodnie, podczas gdy każdy inny owad dotknąwszy pajęczyny momentalnie się przyklepia do niej. Widocznie więc, nóżki pajaka muszą być specjalnie przystosowane do lepu pajęczyny, który na nie nie działa. Proste doświadczenie potwierdza nasze przypuszczenia w całości. Jeżeli oderwano nóżkę pajaka, zanurzymy na kilkanaście minut do dwusiarczku węgla (rozpuszczającego tłuszcz), i następnie dotknijemy tą nóżką pajęczyny, wówczas nóżka przyklepi się do niej jak każdy inny przedmiot. Widocznie więc nogi pajaka, jak zresztą całe jego ciało, pokryte jest warstewką jakiegoś tłuszczu, neutralizującego działanie lepu.

Sieć-si-dła, buduje pajak tylko w pogodne ranki i wieczory. Wytlumaczenie tego, znajdujemy w tem, że wypełniający włókienka lep, posiada wielkie zdolności hygroscopijne. W dnie wilgotne więc, włókienka wchłaniają za dużo wilgoci i powietrza i traci swą właściwość.

W dnie pogodne, wchłonięta przez włókna wilgoć z powietrza, wystarcza do takiego rozpuszczenia lepu, by mógł swobodnie przenikać przez ścianki włókien na zewnątrz.

Całe to urządzenie, nadzwyczaj sprytne i proste, zadziwia swoją pomysłowością, jaką spotykamy w przyrodzie na każdym kroku.

Pajak paskowy, po ukończeniu budowy sieci, przebywa stale na pajęczynie tak w dzień, jak i w nocy. Są jednak pajaki, które po ukończeniu sieci, dzień spędzają zdale od niej. W kryjówce, sporządzonej z liści, zręcznie pościąganych pajęczyn. Zachodzi więc pytanie, w jaki sposób dowiaduje się pajak o zdobyczu zaplątanej niebacznie w si-dła? Czy czeka aż noc zapadnie, czy też pozwala ofierze, którą może być jakiś duży, silny owad, porwać swą sieć i wyswobodzić się z niej? Napewno nie. Z chwilą zaplątania się owada w si-dła, oddalony od pajęczyny pajak, natychmiast przybiega, by zdobycza unieszkodliwić i sprawić sobie ucztę.

Skąd więc pajak czerpie wiadomość o schwytaniu w sieć owada? Przypatrzwszy się dokładnie pajęczynie, zauważymy, że ze środka sieci, w miejscu gdzie schodzą się jej promienie, wybiega nitka, która prowadzi do kryjówki pajaka. Jest to poprostu „druć telegraficzna”, dająca znać pajakowi o schwytaniu się zdobyczy.

Twierdzenie nasze umacnia się tembardziej, że na tym drucie telegraficznym, spoczywa łapka pajaka. Poprostu pajak „trzyma w ręku”, nitkę sygnalizującą mu schwytanie zdobyczy. Zwierzy-na zaplątana w pajęczynie, pragnąc się wyswobodzić, wstrząsa siecią i w ten sposób, przy pomocy wyżej opisanego drutu telegraficznego daje o sobie znać pajakowi.

Że nitka ta spełnia rolę telegrafu, świadczy jeszcze to, że wprawienie pajęczyny w ruch przez wiatr, nie wywabia pajaka z kryjówki.

Pajaki młode, nadzwyczaj ruchliwe i pełne energii, mało posługują się „telegrafem”. Jedynie stare, leniwe okazy, lubiące drzemkę w zacisznych miejscach, korzystają ze swego telegrafu.

Znając w ogólnych zarysach sztukę budowlaną pajaka, przypatrzmy się jego łowom i uczcie. Chcąc obserwować łowy i ucztę pajaka, najlepiej w tem mu... pomóc, przez przyklepnięcie jakiegoś owada, np. muchy do pajęczyny. Pajak bowiem może służyć za wór cierpliwości. Potrafi on, siedząc w środku pajęczyny, głową zwrócony na dół i szeroko rozstawionymi nóżkami, przetrwać bez najmniejszego ruchu kilka godzin, a nawet i dłużej w oczekiwaniu zwierzyzny. Kładziemy więc na pajęczynę żywą muchę. Wstrząśnięta szamotaniem muchy pajęczyna, budzi pogrążonego w bezruchu pajaka, który szybko przybiega do miejsca, gdzie tkwi owad. Okrążywszy kilka razy zdobycza, zapewne w celu ocenienia jej siły i groźącego pajakowi niebezpieczeństwa, uspokojony zbliża się pajak do muchy i dotknąwszy ją odwłokiem, wprawia ją w szybki ruch obrotowy przednimi nóżkami. Poprzeczna nitka pomiędzy dwoma promieniami siatki, służy za oś obrotowa.

Wskutek ruchu obrotowego, owija pajak swą zdobycza nitką, wysnutą przez dotknięcie owada kądziółkiem. W ten sposób unieruchomia swoją ofiarę.

Czasami unieszkodliwienie zdobyczy, zwłaszcza gdy ta jest duża, silna i niebezpieczna dla pajaka, np. konik polny,

szerszeń, modliszka, odbywa się inaczej, się inaczej.

Mianowicie, pajak przybiega zdale od schwytanego owada w różnych kierunkach i w ten sposób go mota, albo obraca się do ofiary tyłem, ma się rozumieć z przyzwyczajonej odległości i tylnymi nóżkami wyciąga z kądziółek, nie pojedyncze nitki, ale poprostu całe płaty jedwabiu, które zarzuca na swą zdobycza tak długo, aż ta formalnie zostanie pokryta pajęczyną. Wówczas zadaje pajak swej ofierze lekkie ukąszenie swych jadowitych haczyków i spokojnie czeka, aż jad zacznie działać, t. zn. ubezwładni i zdrętwieje ofiarę.

Po tej całej operacji, przystępuje pajak do uczty. Jeżeli ofiarą okaże się mały owad, wówczas spożycie odbywa się na miejscu. Jeżeli natomiast ofiara jest duża, tak, że spożycie jej wymaga kilka, a czasem i kilkadziesiąt godzin, wtedy pajak uwalnia ją od promieni siatki, które służyły za punkt przyczepu w czasie motania zdobyczy, doprowadza włókna siatki do porządku, omotaną zwierzyznę przyczepia na pajęczynie do odwłoku i transportuje ją do środka siatki (zbudowanej z włókien bezlepowych), lub do swej kryjówki, gdzie z rozkoszą zapewne oddaje się uczcie.

Widok uczającego pajaka jest ciekawy i straszny zarazem. Ubezwładniona jadem ofiara zjadana jest żywcem. Pajak przykładą do zdobyczy swój otwór gębowy i poprostu wypija całą wewnętrzną zawartość owada. Potem dopiero zjada części mięsne, na samym końcu racząc się pustą już skórą ofiary, którą po przeżuciu wypływa.

Pajak jest wszystkożerny. Nie pogardzi żadną zwierzyzną, która wpłcze się w jego si-dła. Wszystko co się rusza, warte jest zjedzenia.

W ogólnym zarysie o życiu pajaków, nie wspominałem o pajakach, które nie budują sieci, lecz przemysłne domki-wieżyczki, labirynty kopane w ziemi i t. p.

Takim pajakiem jest np. *Tarantula narbonensis*, ptaszniak amerykański (napadający na małe ptaszki i drobne płazy oraz gady) i inne, które ze względu na swoje cechy życia i zwyczajów, muszą być traktowane jako osobny temat.

Tych kilka słów szczegółów, jakie przytoczyłem z życia pajaków, każdy sam może dokładnie zaobserwować. Przyroda bujnie wyposaża nas w nieprzebraną moc ciekawych zjawisk, trzeba tylko chcieć patrzeć.

t. k.

Jakich praw słuchają Jankesi?

„Dzisiaj w Stanach Zjednoczonych jedynymi prawami których ludzie przestrzegają z religijną sumiennnością, są prawa bridżowa” oświadczył niedawno Culbertson, który w tym wypadku sam jest prowadzącą, jako mistrz Stanów Zjednoczonych i autor całego szeregu książek o bridżu.

Ostatni rozbójnik węglerski

W więzieniu w węgierskim mieście Sopronko - nida zmarł ośmdziesięcioletni Sándor Peto. Jako chłopiec był on pastuchem, ale spryknęła mu się monotoność tego zajęcia i wstąpił do sławnej bandy zbójców Josiego Savanyu, która w tym czasie stanowiła plagę Lasu Bakoskiego. Był prawdziwym postrachem okolicy. Mijały lata. Jedni towarzysze poginęli, inni dostali się do więzień, inni jeszcze stali się spokojnymi obywatelami. „Peto” uprawiał dalej swoje rzemiosło — ostatecznie w pojedynkę. Pewnego razu popełnił zabójstwo. Kilkakrotnie skazywano go na więzienie, w którym spędził połowę życia. Ostatnim razem wyszedł na wolność jako 78-letni starzec. Do rozbójców nie miał już ochoty, ale nie mógł przyzwyczaić się do obecnego stosunków, więc umyślnie popełnił drobne przestępstwo i oddał się w ręce sprawiedliwości, ażeby z powrotem objąć zajęcie ogrodnika u zarządcy więzienia.

Miasto grzechu

„A chi l'adriatico?”

„A noill” woła z entuzjazmem czarna młodzież faszystowska na hasło wodza. I prawa ręka pręży się w górę, lewa ścisła mały sztylecik. „A no!”

Po drugiej stronie szafirowego „Jadranu” siedzę na terasie hotelu Krka w Szibeniku w gronie studentów serbskich. Przed nami w obramowaniu białych skał ścili się granatowy dywan morza. Czarny, jak dalmatyńskie wino młody Serb, bije się mocną pięścią w pierś i mówi.

„Sześciu moich stryjów zginęło za ojczyznę i ja pierwszy pójdę, gdy będzie potrzeba”.

Wytwórny statek D. D. G., kursujący po Dunaju, wiezie grupę bułgarskich studentów, wracających z Francji na wakacje do swej dalekiej ojczyzny.

„Niech pan zrozumie” mówi niski, krępy student mechaniki z Tuluzy, „Macedonję całą wzięła Jugosławia bez jednego strzału, Grecja od morza nas odcięła, na to wywalczyliśmy po pięćsetletniej niewoli niepodległość, aby teraz nowy rozbiór przeżywać?”

A cóż dopiero mówić o Węgrach obkrojonych ze wszech stron, ciągle w żałobie za straconymi ziemiami? Co o Austrii, gdzie w Wiedniu na pięciu młodych ludzi ze czterech nosi białe pończochy, oznakę hitlerowców, gdzie na płotach i parkanach swastyka codzien zamazywana, liczniejsza jest od krzyży ojczyznianego frontu? Bałkany nie ścichły, wrze i gotuje się kocioł Europy. Niegdyś z Sarajewa buchnął płomień wojny, dziś kto wie skąd, może znowu stamtąd.

A Serajewo zapomniało zupełnie o wielkim grzechu, jakie popełniło w historii świata. Dawno już 10,000,000 trupów w proch się rozsypało, dawno lzy rodzin obeschły, nowe życie rozpleniło się po grobach, bujne, za bujne nawet. Serajewo kwitnie, rozbudowuje się, jeży się butnie lasem minaretów. I może dlatego karząca dłoń sprawiedliwości spaść nie chce na to grzeszne miasto, — pokłębą się srodze. A może mu inną karę przeznaczono. Jest przysłowie: „Kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbierze”. Dziwnie dońże stosuje się ono do obecnych dziejów tego grodu.

Pomyśleć proszę: kobieta dziś w to-dze adwokata broni klientów, kobieta zasiada na fotelu ministra w U. S. A., kobieta lotnik przelatuje oceany, kobieta w ZSSR. prowadzi traktory, kobieta na boisku bije rekordy. Serajewska kobieta chowa ciało w niekształtnym worku, twarz okrywa szczelnie czarna krepa, ręce rękawiczkami, a rozmowę z przekupniem prowadzi przez małego podraka, z którym wszędzie się wodzi. Jakżeby śmiała córka proroka z mężczyzną obcym rozmawiać. Jakżeby śmiała wystawić choć centymetr swego ciała na pożądliwe spojrzenia innych mężczyzn. Pan i władca haremu nie pozwala, bo tak chciał Mahomet, a jeden jest tylko Allah i jeden prorok Mahomet.

Jugosławia, członkini Małej Ententy, pupilka Francji, kraj przecież „zachodni” kulturalny, toleruje u siebie dziką, barbarzyńską niewolę kobiety. Może słodka, rozpoetyzowana królowa Helena odwróci swe niebieskie oczy, patrząc na cud alpejskiej przyrody nad bledskim jeziorem, na czarne „żary” kobiet mahometańskich i każe precz odrzucić tę hańbę kulturalnego kraju. Ale królowa Helena woli haftować wzorzyste koszule, niż pójść w dziki kraj Serbów lub hen, na granice jeszcze dzikszego kraju Shipetorów i światłem kultury rozświetlić ciem-

ne życie nie umiejącej czytać i pisać kobiety mahometańskiej.

Do lat czterestu dziewczyna nosi szarawary i życie jej niczem się nie różni od życia dziewcząt u nas. Gdy lata dziewczęce miną, ubierają ją w workowatą suknię, okrywającą głowę i ręce, przewiazaną w pasie, zaś twarz zasłaniają kawałkiem czarnej krepy, zwanej tu „żarem”. Lecz prawo jest jeszcze łaskawsze: może ręce ukazać bez rękawiczek, może z mężczyzną rozmawiać. Oddana za żonę musi ręce okryć, a rozmowa z obcym mężczyzną jest jej na zawsze zakazana. Ustawodawstwo obecne zniosło już haremy, zostawiając jedynie istniejące dawniej, a więc podobnie jak ustawodawstwo polskie w stosunku do mahometańskich potomków Tatarów.

Egzotyzmowi strojów kobiecych w pełni odpowiada egzotyzm strojów mężczyzn. Czerwieni się ulica od fezów, gdzieś tam mułła odcina się białą barwą turbana, albo złoci się turban pielgrzyma ze świętej Mekki. Do turbana, prócz wyżej wymienionych, mają prawo mężczyźni po 40 roku życia. Fantazja ich znajduje tu piękne ujęcie, wystarczy cokolwiek, dywan, portiera, pończocha, sukno z biurka i obwinięty nim fez wygląda nobliwie i zacnie. Chodzi dumnie w dziobatych kierzach, czarnych, obcisłych do kolan spodniach, których krocie zaczyna się tuż nad narami, zwisających z tyłu olbrzymim wołkiem. I gdy zobaczy kuma, kucają sobie wygodnie na chodniku, by uciąć pogawędkę.

Jeśli kieszeń w dynary bogatsza, to idą sobie do kafany, których jest tyle, co najmniej, wiele jest kamienic w Serajewie i popijają, siedząc w kuczki, prawdziwą „turecką kafe”.

Targ turecki „czarszija”, pełen jest zawsze barwnego tłumu. Złotnicy z cienkiego drutu złotego lub srebrnego, robią misterną biżuterię, zwaną u nas „wenecką robotą”. Wszędzie obecni turyści czescy, którzy całymi tłumami oblatują Jugosławję, zlatują się nad warsztatami jubilerów, swargoczą, dziwią się, targują i wreszcie kupią w dziesiątkę jedną spinke do mankietów. Potem lecą czerechą do czapkarza i kupują sobie wszyscy czerwone fezy, 10 dinarów sztuka (oko-

ło 1 zł. 20 gr.) i paradują w nich dumnie. Czerwone fezy czują się dobrze na czeskich głowach, przecież je czeskie ręce robiły, gdzieś w dalekiej złotej Pradze. Tak, czeskie ręce.

Oczy syte barw, — i żołądek trzeba nakarmić. Wonie takie mocne wońko! To łagnię w całości wbite na pal, obdarte ze skóry, z wetkniętymi kopytkami za kości żeber i ze szklanymi oczyma kręci się powoli na rożnie. Już wprzód przez dwa dni piekło się do słońca, dziś ślinią się z nadmiaru apetytu widzowie.

„Jedna kamada dinara”, drze się przekupień. Kupują, jedzą. Komuś nie w smak jagniątko, może sobie kupić małe „reżniczki”, też pieczone mięso na rożnie z cebulą i słoniną, albo czebabczeczki małe pieczone kluski z siekanego mięsa. Czarne wino jest dobre, bardzo dobre, ale pija je tylko dalmatyńscy, lub obcy turyści. Porządny Serb idzie do kafeny i pije „rakije”, wódkę śliwowicę, pije z małej kafeeczki, — z kieliszka nie uchodzi. Smakuje, cmoka, sączy przez zęby, pije jedną, drugą, dwudziestą i dusza mu się rozśpiewa. Więc macedońskie i bośniackie zawodzące jękiwie piosenki zrywają się i niosą po ciasnym uliczkach. Aż mułła ochrypliły z wysokiego minaretu przekrzyknąć ich nie zdoła. — Ach, prawda, prorok zakazał wina, lecz cóż tam prorok, on nie znał wódki. Gdy usta zapragną słodczy, jest rachatio-kum — chleb proroka, turecki specyfik jak chałwa, lecz o słodczy zbyt intensywnej dla europejskiego podniebienia.

Lecz czy one fezy, żary, czebabczeczki, to całe Serajewo? Nie, — są jeszcze dwie linie tramwajowe, po których jeżdżą sobie w zgodnej komitywie pociągi i tramwaje. Jest jedno auto, pod które o włos nie wpadłem, gdy zobaczyłem, jak zawołowana tureczka, patrząc na wystawę pełną cudów kobiecej bielizny, śmiało odrzuciła żar na głowę, by oczy mogły swobodniej sycić się widokiem zakazanego owocu.

Jest jeszcze ratusz w stylu maurytańskim z wspaniałą ornamentyką sal i holu. Jest wspaniała dżamja (moszeja, meczet) Begowa wysłana dywanami i liczącymi po paręset lat, o barwnie malowanych ścianach i pułapie z ornamentyką, z której jest usunięty wizerunek czło-

wieka i zwierzęcia zgodnie z wymogami koranu. W ten sposób Mahomet chciał się zabezpieczyć przed obrazoburstwem i fetyszyzmem. W głównej ścianie wgłębienie, tam siada mułła po bokach elektryczne świeczniki, z prawej strony leży koran, z lewej wysoka kazałnica. Naprzeciw zagroda dla dzieci, podwyższenie dla chóru i w honorowym miejscu elektroluks. Na podwórzu szemrze fontanna studni rytualnej, gdzie wierni myją nogi. A propos nogi — oko nasze przyzwyczajone do odwiecznie brudnych nóg naszego chłopca, nie myśli od wiosny do jesieni, nie może się nadziwić czystym stopom synów proroka. Razi przyjemnie oko. Czemu bystrość twórcy koranu nie rozszerzyła się też i na inne dziedziny życia? Czemu nie pomyślał, że i kobieta, to ostatecznie także człowiek. Lecz nie, — zdziwi się mocno prawowierny muzułmanin, gdy dowiedzie się, że „innostraniec” chce uważać jego żonę za człowieka, przecież Mahomet powiedział, że pies, jaszczurka i kobieta nie mają duszy.

Jest jeszcze дума i chluba całej Serbii i Jugosławii, miejsce zamachu Gawryły Principa na następcę tronu Ferdynanda „15 juni 1914” głosi wmurowana na jego cześć tablica na owym historycznym miejscu i t. d. Na owym historycznym miejscu po nieudalym zamachu Cabrinovicza, którego bombę przytomnie odrzucił arcyksiążę, młody student, 19-letni Princip zastrzelił z rewolweru Ferdynanda i jego morgantyczną małżonkę księżnę Zofję Hohenberg (Hotec). Uciekając przed policją, przebiegł most i w zdenerwowaniu rzucił się z mostu do rzeki Miljacki, by w jej nurtach znaleźć śmierć lub ucieczkę. Tymczasem zapomniał młody zapaleniec, że wody tam nie ma nawet do kolan i brodzącego w płytkiej wodzie bohatera ujęła policja. Gawryło Princip został bohaterem wolnej oswobodzonej Jugosławii. Gawryło Princip strzałem swoim zbudził i rozpetał lawinę wojny światowej. Gawryło Princip nie przypuszczał, że na strzał jego drgną w dalekiej Polsce serca obywateli nieistniejącego państwa, że z jego strzału legnie na polach bitew 10 milionów trupów, że z jego strzału zbudzą się do życia zapomniane państwa. Więc chyba cześć ci Gawryło Princip...

ZBIGNIEW SCHNEIGERT.

Ciekawostki ze świata

Ślub pary akrobatów

W Marsylii brało z sobą niedawno ślub dwoje akrobatów cyrkowych. Odbiwał się on w ratuszu. Po podpisaniu aktu pan młody wyrzucił efektownego koziołka i opuścił budynek na rękach. W tej pozycji kroczył przez jakiś czas na czele orszaku weselnego. Niezwykły widok ściągnął naturalnie tłum ludzi. Wówczas oboje państwo młodzi urządzili na ulicy widowisko, wykonyując szeregi sztuk. Jeden z družbów obszedł publiczność z tatką i zebrano pokaźną sumkę na pierwsze wydatki gospodarskie pary akrobatów.

Ruchomy teatr

Bezrobotni aktorzy w Nowym Yorku nie chcą brać za darmo zasiłku i zorganizowali ruchomy, a bezpłatny teatr. Scena, której długość wynosi 10 metrów, szerokość niewiele ponad 4 metry, urządzona jest na aucie ciężarowym. Przedstawienia odbywają się po ogrodach publicznych. Wstępów niema wcale, więc akcja ta cieszy się dużą popularnością. Repertuar obejmuje dramatyczną przeróbkę „Chaty wuja Toma”, „Poskromienie złoŹnicy” Szekspira i szeregi sztuk z lat ostatnich. Popołudniu gry-

wa się sztuki dla dzieci, więc np. „Ripa Van Winkle”, „Robinsona Crusoe”, „Lam- Aladyna” i „Wyspę skarbów”.

Komedja Francuska ma podróżować

Francuskie Ministerjum Sztuk Pięknych spodziewało się otrzymać do rozpatrzenia duże sumy z funduszu, przeznaczonego przez parlament na roboty publiczne celem zapobieżenia bezrobociu. Planowało gruntowną restaurację Luwru i szeregu innych gmachów, które miały być opiekowane, a także budowę czterech popularnych teatrów, po 3 tysiące miejsc, w różnych dzielnicach Paryża. W teatrach tych grałyby zespoły, utworzone przez Komedję Francuską, wybierając głównie sztuki repertuaru klasycznego.

Niestety Ministerstwu przyznano daleko mniej pieniędzy, niż się spodziewało. W każdym razie może ono przeznaczyć 17 milionów franków na przebudowę Luwru, a 3 i pół miliona na restaurację gmachu Komedji Francuskiej. Roboty rozpoczną się zapewne dopiero za 2 lata, gdyż dużo czasu zajmą przygotowania. Już teraz jednak myśli się o okresie, w którym artyści Komedji znajdą się bez dachu nad głową. Powstał projekt tournée po zagranicy, między innymi po Stanach Zjedno-

czonych i odbywają się już portrakcje w tej sprawie.

Odnaczenia dla zwierząt

Wiedeńskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami ustanowiło medal, który będą otrzymywać przedstawicielki zwierząt, mogące pochlubić się ocaleniem życia ludzkiego. Pierwszy uhonorowany został młody mieszkaniec z Fermi k. Gracu za wydobycie z wody dziecka. Po nim doznał zaszczytu Edo, niemiecki pies owczarski, obecnie będący w służbie policyjnej. Jego pan, inspektor policji, został podstępnie uwięziony z przewrotnymi otoczoną i grożono mu śmiercią. Wtedy dzielny pies rzucił się na pomoc, kłapiąc na prawo i na lewo, powstało zamieszanie i pan jego zdołał wydostać się z matni. Zresztą w kilka tygodni zrewanżował się psu który wskoczył do Dunaju w chwili, kiedy nadpływała duża fala parowa, i nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Wówczas jego pan rzucił się do wody w pełnym mundurze, pochwycił psa i jeszcze na czas dopłynął z nim do brzozy. Trzeci dostał medal olicyjny pies Prinz, który rzuca się na ludzi, mających przy sobie lepi na ptaki i tym sposobem ocalił dużo skrzydlatych stworzeń.

Zmysł własności u zwierząt

Cały szereg czynności zwierząt, z pozoru trudnych do wytłumaczenia, możemy zrozumieć uwzględniając bardzo powszechne u nich zmysł własności. Zbyt często się zdaje nadmieniać, że pojęcie ludzi kulturalnych o własności i posiadaniu niema nic wspólnego z temi wywodami.

Mimo tej różnicy można mówić o poczuciu własności u zwierząt, które polega na tem, że zwierzę rozumie, a raczej czuje, iż dana rzecz jest jego wyłączną własnością. Do takich rzeczy zalicza się:

1) Legowisko — a więc gniazdo, nora i t. p.

2) Zdobycz.

3) Przestrzeń, obszar, który niektóre zwierzęta chcą mieć wyłącznie dla siebie.

Należy tu jeszcze wspomnieć o drobnych przedmiotach u zwierząt, trzymanych w niewoli. Już Darwin w tej kwestii robi bardzo słuszną uwagę, opisując zwyczaj mały w ogrodzie zoologicznym: „Jedna małpa, mająca zęby zepsute, używała kamieni do tłuczenia orzechów. Dozorcy zaręczali że małpa kamień ten chowała w słomę i nie pozwałała ruszyć go żadnej innej małpie. Małpa tu wyraźne poczucie własności”. — Zwierzęta domowe mają też takie przedmioty, służące do specjalnego użytku; pies n. p. wyraźnie daje poznać po sobie, jak dalece jest przekonany, że n. p. kaganiec, albo miska, z której je, jest wyłączną jego własnością. Wiadomo także, że pies świetnie odróżnia rzeczy swego pana od innych i dlatego tak doskonale nadaje się do pełnienia obowiązków stróża.

Darwin słusznie mówi, że ptaki mają pojęcie własności w stosunku do swego gniazda. Zdanie to można bezpiecznie zastosować do wszystkich zwierząt o wyższej organizacji, które legowiska swoje z pewnym trudem budują, np. królik, lis, borsuk i t. p. Wiadomem jest, jak wielkich starań dokładają ptaki, ażeby rodzinie swojej wygodnie zbudować gniazdo. Wiemy, że pomiędzy nimi tak, jak pomiędzy ludźmi, odbywa się ciągła walka o gniazdo lepiej położone, o miejsce na słońcu i t. p.

Na wybór miejsca bowiem wpływa cały szereg okoliczności. Nie wszędzie grozi jednakowe niebezpieczeństwo od ludzi i innych wrogów; nie każde miejsce jest równie dobrze zabezpieczone od deszczu, wiatru i zmian temperatury. Ze różnice te należy się są pojmowane i oceniane, o tem przekonują nas walki, nieraz krwawe, pomiędzy ptakami różnych gatunków. Brehm podaje taki opis: „Nad moim pokojem znajdowało się okno w strychu, a pod niem, gniazdo i to z powodu dobrego położenia stało się zajęte. Najczęściej gnieździły się w niem szpaki, czasem wróble, a czasem jaskółki. Wróble zawsze musiały ustąpić miejsca szpakom, a szpaki jaskółkom. Walka była krwawa, ale jaskółki niczem się nie zrażały i kosztem największych ofiar zdobywały gniazdo dla swych samicek”.

Również uzasadnione zdaje się być twierdzenie, że lis, chcąc sobie oszczędzić pracy, wypędza borsuka z legowiska. Wszystko to jest dowiedzione. Jednakowoż ku wielkiemu naszemu zdziwieniu widzimy, że zwierzęta jednego gatunku szanują własność swoich współbraci. Espinas słuszną robi uwagę: „Wiele bardzo zwierząt rozumie, co to jest własność i wie, jakie obowiązki nakłada zdobywanie i obrona własności. Zazwyczaj potrafią uszanować granice posiadłości, na-

gromadzoną żywność i gniazda osobników tego samego gatunku”.

Szczególnie wyraźne poczucie własności ma zwierzę w stosunku do swego pożywienia, zwłaszcza do swej zdobyczy. Nawet oswojone zwierzęta nie znośzą tego, żeby im kto odbierał jadło, tak dalece, że pies na własnego pana warczy, gdy ten przeszkadza mu w jedzeniu. W berlińskim ogrodzie zoologicznym przed laty słoń zabił swego dozorcę. Niebawem ten wypadek tłumaczono tem, że słoń został w błąd wprowadzony niewłaściwym ruchem swego dozorcę i przypuszczał, że ten chce mu odebrać przyniesione jedzenie.

Jeden z podróżników opisując swoją podróż po Peloponezie, opowiada ze zdziwieniem, że został mocno zraniony przez swego muła, do którego się zbliżył w czasie spożywania obroku. Opierając się na spostrzeżeniach powyżej przytoczonych, nie możemy podzielać jego zdziwienia.

Ale najbardziej zajmująca jest ta okoliczność, że wszystkie zwierzęta, żyjące samotnie, a względnie parami, zajmują dla siebie pewną przestrzeń i ze wściekłością rzucają się na każdego, kto przekroczy granicę ich terytorium. Zdawałoby się, że kwestja własności ziemskiej jest wyłącznym przywilejem człowieka, a jednak tak nie jest, a przyczyną, ja-drem kwestji tak między ludźmi jak i zwierzętami jest kwestja pożywienia.

A że tak jest, za tem przemawiają następujące fakty: Ile razy okaże się nadzwyczajna obfitość pożywienia n. p. w postaci mnóstwa liszek, tyle razy żyją jak najzgodniej obok siebie zwierzęta, które przedtem gwałtownie staczały walki. Dlaczego? Dlatego, że wszystkie mają pod dostatkiem żywności i mogą bez walki i trudu zaspokoić swój apetyt. I na odwrót, ze zdziwieniem słyszymy nieraz, że np. ptaki drapieżne, które też pe-

wien rewir na wyłączną swoją własność biorą w posiadanie, wychowują swoje małe z największą troskliwością i poświęceniem, ale skoro tylko te ostatnie wyrosną i są w stanie same się wyżywić, starzy nietylko wyrzucają je z gniazda, ale nawet wypędzają ze swego rewiru.

Dla nas fakt ten ma bardzo proste wytłumaczenie: Instynkt nakazuje rodzicom troszczyć się o małe, dopóki one potrzebują pomocy; z chwilą jak wyrosły na istoty samodzielne, stały się współzawodnikami i w imię przyjętych zasad, muszą z rewiru ustąpić względnie zostają wygnane.

Do zwierząt takich, o których z pewnością wiemy, że bronią wstępu do swego rewiru każdemu innemu zwierzęciu oprócz powyżej wymienionych ptaków drapieżnych dodać należy żórawia, kuro-patwę, ziębę, zaś z pośród ssących: dinga, czyli dzikiego psa australijskiego, ocelota i rysia. Bardzo ciekawem byłoby zestawienie wszystkich gatunków zwierząt, przywłaszczających sobie w ten sposób panowanie nad pewnem terytorjum. Będzie to możliwe dopiero wtedy, gdy przyrodnicy baczniejszą zwrócą uwagę na kwestję tę, dziś jeszcze odłogi leżącą. Brehm tak pisze o osle: „para osłów samiec i samica z takim uporem trzyma się raz obranej miejscowości że nawet w zimie jej nie opuszczają, o ile okolica obfituje w pożywienie”.

O dziczących psach na Wschodzie opowiadają: „Każda ulica ma swoje psy, które jej nigdy nie opuszczają, i biada psu, któryby się poważył przekroczyć granicę cudzego terytorjum. Nieraz można być świadkiem, jak się na niego rzuca cała sfora psów i szarpie w kawały, jeżeli nie zdołał się uratować ucieczką”. Dziś cała ta rzeczpospolita psia należy już do przeszłości. Po wojnie rząd turecki bezlitośnie wytępił bezdomne psy

Konstantynopola. Dużo ciekawych i rzetelnych wspomnień poświęcił im znany francuski pisarz Claude Farrère w swej książce p. t. „Dziwna przygoda Dżemaledina”.

Wynika stąd, że zarówno zwierzęta towarzyskie, jak i samotne przywłaszczają sobie pewną dzielnicę, tak samo, jak ludzie jednej narodowości pilnie strzegą granic swej ojczyzny. Nie można też się dziwić, że małpy, stworzenia najbardziej do ludzi zbliżone, istne walki staczają o gałęzie i drzewa z owocami. Jeden z autorów tak opisuje podobną walkę między małpami indyjskimi: „Zrazu brały udział w walce tylko najsilniejsze samce, ale gdy jeden z dwóch, poległ skutkiem rozszarpania gardła i szyi, przybiegły samice na pomoc. Pod ich naporem padł początkowo zwycięski samiec, a banda jego pierzchała, pozostawiając kilku niewolników w ręku nieprzyjaciół. W ten sposób możemy też sobie wytłumaczyć zjawisko bardzo często spostrzegane, że pojedyncze zwierzę wprowadzone do stada, np. krowa lub koń nowonabyty, czeka ciężki los i przesładowanie. U całego stada budzi się prawdopodobnie stary instynkt, że stado i przestrzeń stanowi jedną nierozdzielalną całość i że nowy przybysz jest konkurentem, którego należy usunąć. Jest to jednak tylko przypuszczenie.

Co się tyczy gniazda, nory, zdobyczy i pożywienia, a szczególnie danego obszaru, to zachowanie zwierząt niewątpliwie dowodzi, że w ich pojęciu mają one wyłączne prawo do tych przedmiotów. A że tak jest, wydaje się nam bardzo naturalnem, — wszędzie bowiem posiadanie jest kwestją bytu, a tem samem zachowania gatunku. Zmysł własności, który bezspornie bardzo wiele zwierząt posiada, służy do stosunkowo prostego wytłumaczenia wielu ich czynności napozór bardzo dziwnych.

W. M.

„Hallo! Tu Radjo P. A. T.!”

Czyżby nowa rozgłośnia w Polsce?

Właśnie — tak i nie. Nowa ona nie jest, choć dużo młodsza od swoich sióstr — rozgłosni Polskiego Radja, a jednak od nich inna. Najwłaściwsze miano dla niej to: „latająca względnie jeżdżąca rozgłośnia”. Wszyscy już teraz domyślą się, że chodzi o radjo w pociągach dalekobieżnych, radjo — obsługiwane przez Polską Agencję Telegraficzną.

W zimny, pochmurny dzień jeszcze nie nadeszłej wiosny (było to w marcu br.) wracałem do kochanego Lwowa z Warszawy — pociągiem. Rozmyślenia moje powarszawskie przerwało wejście pięknej pracowniczki PAT'a oferującej mi wypożyczenie słuchawek radjowych na cały czas biegu pociągu. Oczywiście z propozycji skorzystałem i zaopatrzone w słuchawki i Radjo - Program (dodawany bezpłatnie do słuchawek) zamieniłem się cały w słuch. Nie oczekiwałem wiele — lecz znalazłem dużo zadowolenia i zabiłem nudę, wtulona w kąt przedziału samotnie podróżujących pociągami. Przez cały czas jazdy pociągiem — muzyka. Muzyka — nie ta jednostajnego stukotu kół wagonu, ale prawdziwa muzyka transmitowana z Warszawy względnie z innych Rozgłosni polskich albo też ze stacji zagranicznych. W razie gdy stacje te nadają odczyty względnie pogadanki Radjo PAT w pociągu nadaje muzykę z płyt gramofonowych: „Hallo! Tu Radjo PAT.!” Nadajemy państwu muzykę z płyt gramofonowych. Na wstępie usłysz państwo... itd. Zupewnie tak samo jak na normalnej, o dobrych podstawach, nie jeżdżącej stacji, i głos miły „latającego speakera”.

Dzięki uprzejmości kierownika Radjo PAT. zwiedziłem ich „studio” będące zarazem pokojem reżyserskim. Znajdują się tam odbiornik typu zbliżonego do superheterodyny (oczywiście krajowy), który zarazem służy do wzmacniania prądów z mikrofonu (podczas zapowiedzi) oraz do wzmacniania prądów z adaptera gramofonowego. Odbiornik zasilany jest z baterji (akumulatora i baterji anodowych). Antena dla tego odbiornika znajduje się na dachu wagonu, w którym pomieszczona jest kabina Radjo PAT. Obsługa tego urządzenia wymaga skupienia i uwagi — znajomości programu polskich stacji no i znajomości aparatu. Operator ma stałe słuchawki na uszach, by w razie przerwy powstałej skutkiem nadawania odczytu przez radjo — wypełnić je koncertem z płyt gramofonowych.

Radjo PAT, obsługując pociągi na następujących liniach:

- 1) Warszawa — Baranówce,
- 2) Warszawa — Gdynia,
- 3) Warszawa — Kraków,
- 4) Warszawa — Poznań,
- 5) Warszawa — Lwów,
- 6) Warszawa — Wilno,
- 7) Warszawa — Zdobunów,
- 8) Warszawa — Zabrzydowice,
- 9) Lwów — Kraków.

oraz w kierunkach przeciwnych do wyżej podanych.

Jedno może tylko zastrzeżenie. Za dużo muzyki — a zupełnie niema w pociągach radjowych — odczytów, pogadek itp. Przeciwników słowa mówionego w radjo zwolenników muzyki powinno się dla zmiany ich upodobań wysłać w podróż — pociągiem radjowym Ręczę za

skutek. Na zakończenie dodam, że w każdą niedzielę przed „Wesołą Lwowską Falą” wszystkie słuchawki są wypożyczone, podróżni zamawiają je na kilka godzin naprzód, urzędując między sobą licytację byle tylko usłyszeć „Wesołą Lwowską Falę”, która zdobywa sobie popularność i miłość całej Polski z szybkością pociągu. Poczęści zasługa w tem „latającej” rozgłosni Radjo P.A.T.

Stanisław Karol Władysław.

Gdzie będzie wystawa paryska w r. 1937?

Co do urządzenia w Paryżu wystawy w r. 1937 zapadło ostatecznie postanowienie, wrócono tedy do dyskusji nad miejscem. Mimo protestów ze strony ludzi, mieszkających w pobliżu Pola Marsowego, wybrano tereny, położone po obu brzegach Sekwany w pobliżu Trocadero i wieży Eiffa. Położone tam ogrody nie wystarczą, trzeba więc będzie przenieść gdzieś indziej stare sprzęty i gobeliny, przechowywane w Mobilier National, i posagi władców Francji, którzy utracili tron wskutek rewolucji (Karola X, Ludwika Filipa i Napoleona III), przechowywane w Dépôt des Marbres, ale nieprzeznaczone do oglądania. Prawdopodobnie wypadnie także zburzyć t. zw. Ecuries de l'Alma, zbudowane za drugiego cesarstwa dla pomieszczenia koni i pojazdów Napoleona III. Obecnie stoją tam auta prezydenta Rzeczypospolitej i mieszka szereg urzędników. W takim razie zburzonoby również szereg ruder koło Pont de l'Alma, zbudowanych z powodu wystawy r. 1890, a mieszczących obecnie pewne biura Ministerstwa Pracy i Głównie Biuro Statystyczne.

„Żywy Dante”

Trudno odgadnąć, jakie pobudki kierowały wydawnictwem J. Przeworskiego (znanem dotąd z wydawania przeważnie rzeczy, odpowiadających bardzo „nowoczesnym” gustom, „elity sfer czytelniczych”), gdy zdecydowało się wydać wspaniałą, ale najprawdopodobniej katastrofalnie deficytową książkę o Dancie. Czyżby i u nas zaczynała się fala nawrotu do tradycyjnej wielkiej literatury?

A jeżeli książka była przeznaczona wyłącznie dla snobów, to i wtedy tylko cieszyć się należy, że są u nas jeszcze ludzie, którzy snobują się nie tylko „Kochankiem lady Chatterley” czy „Podróżą do kresu nocy” i wogóle tem, co „najmodniejsze”, ale wielkim, nieśmiertelnym twórcą „Boskiej komedji”!

Zresztą, mniejsza o pobudki — sam fakt ukazania się po polsku książki Papiniego „Żywy Dante” jest tak doniosły, że może budzić tylko entuzjazm i szczere zadowolenie pod adresem wydawcy. Oto mamy książkę o największym poecie chrześcijaństwa, napisaną przez człowieka, który nie tylko zna dobrze Dantego (takich jest dużo), ale który go naprawdę rozumie i czuje...

Giovanni Papini przeszedł znamieną ewolucję. Niegdyś zwalczał chrześcijaństwo („Pamiętniki Pana Boga”), potem jednak zmienił się gruntownie i złożywszy pełen uwielbienia hołd Chrystusowi, Jego Boskości i Jego nauce („Dzieje Chrystusa”) wyszydził całą cywilizację nowoczesną, odchrześcijanioną, materialistyczną i pseudo-spiritualistyczną („Gog”), okazał głębokie zrozumienie dla ducha chrześcijaństwa w momentach jego stykania się z życiem i filozofią („Św. Augustyn”), — dziś zaś, przyszedłszy do przekonania, że o poecie, Florentczyku i katoliku powinien i może pisać tylko poeta, Florentczyk i katolik, bo tylko etn zrozumiem Dantego, stworzył wspaniałe dzieło o twórcy „Boskiej Komedji” — o duszy, dziele i epoce największego poety chrześcijaństwa.

Oddawna toczy się — zdaje się, nigdy nie mający się skończyć — spór o to, kto powinien pisać o wielkich twórcach — ściślej mówiąc, kto lepiej pozna i zrozumie twórcę i jego dzieło: badacz — uczeń czy inni twórcy?... Za pierwszymi przemawia bezmiar ich erudycji, metoda, wreszcie umiejętność zdobywania się na beznamietną bezstronność. Za drugimi intuicja i ten instynkt pokrewieństwa duchowego, który sprawia, że jeden twórca zawsze zrozumie i odczuje drugiego twórcę lepiej, niż ktoś, kto nie jest artystą.

W wypadku konkretnym mamy zwycięstwo drugiej teorii, tem większe, że artysta Papini, instynktem artystycznym bezsprzecznie lepiej rozumiejący i czujący Dantego, niż setki dantologów — wystąpił z imponującym aparatem niżej erudycji.

„Żywy Dante” Papiniego, to nie tylko jeden z najszcześniejszych okazów modnego dziś „odbronzawiania” — to przede wszystkim tekst magiczny, za sprawę którego naprawdę żywe, zrozumiałe i każdemu z nas bliskie się stają karty „Boskiej Komedji”, zazwyczaj trochę odstraszaające swoją hieratyczną wielkością i mistyczną, ale i zniechęcającą laików — tajemniczością, niezrozumiałością.

W interpretacji autora „Św. Augustyna” i „Goga” Dante ożywia się, zacieśnia, wciąga, a nawet porwuje, a chwilami wprost aktualizuje się (proble-

my religijne, historyczne, polityczne, erotyczne, artystyczne). Przeciwnie inteligentny czytelnik, który nawet zna już „Boską Komedję” (zazwyczaj tylko „Piekło”), gdy weźmie do jednej ręki trzy tomy przekładu Porębowicza, a do drugiej dzieło Papiniego, naprawdę stanie wobec nowego, nieznanego, a wspaniałego świata.

Poznajemy dopiero teraz nie tylko wielki twór Dantego, nie tylko istotę jego geniuszu i artysty, — ale przede wszystkim ducha chrześcijańskiego średniowiecza, — odkrywamy prawdziwe średniowiecze w okresie szczytowego rozkwitu i słabo zaznaczających się początków bliskiej likwidacji i modyfikacji. I to tak dalece, że w dziele Papiniego sylwetka Dantego na tle epo-

ki, jej ducha, kultury i ludzi pociąga i emocjonuje niemalże więcej, niż odważne a subtelne wnikanie w głąb tajemnic poematu i jego piękna.

Na specjalne wyróżnienie zasługują części „Dzieła”, „Człowiek”, a przede wszystkim „Dusza”. Najciekawsze są rozdziały o stosunku Dantego do nauki Kościoła, do Papieża Bonifacego VIII i cesarza Henryka Luksemburczyka, a szczególnie (rzecz nowa — dotychczas zajmowano się wyłącznie stosunkiem przeciwnie!) o stosunku Beatryczy do tego, który unieśmiertelił ją i wyniósł tak wysoko, jak nigdy żaden mężczyzna żadnej kobiety.

W dzisiejszych czasach ilość przekładów z obcych literatur znajduje się w stosunku odwrotnym proporcjonalnym

do ich jakości. W tłumaczeniu ztraca się najczęściej cały urok artystyczny przekładanego dzieła. „Żywy Dante” Papiniego należy do wyjątków, co zresztą z góry można było przypuszczać, widząc na okładce nazwisko tłumacza, Edwarda Boye.

P. Boye ma ponadto inny jeszcze tytuł do chwały: jest on jedynym w Polsce propagatorem i ambasadorem wspaniałej, oryginalnej, egzotycznej a głęboko tkwiącej w źródłach naszej europejsko-chrześcijańskiej cywilizacji — umysłowej i artystycznej kultury hiszpańskiej, której tylko dodaje uroku jej mozaikowość: harmonijne zlanie się pierwiastków celtyckich, romańskich, germańskich (gockich), arabskich i uniwersalistyczno-chrześcijańskich.

p. t.

Wybór listów Napoleona

Ciężką miał pracę Mr. J. Thompson, który przed paru miesiącami wydał w przekładzie angielskim wybór listów Napoleona. I tak ją ograniczył, gdyż przestudjował jedynie to, co przed nim ogłoszono drukiem — t. j. około 40 tysięcy sztuk, a przecież, jak stwierdził dawno kardynał Gasquet, w Bibliotece Watykańskiej leżą jeszcze niedrukowane, a posiadające pierwszą ręką wartość historyczną — niewiastę, w jakiej ilości. Thompson wybrał około trzystu listów, uwzględniając wszelkie epoki życia i najcharakterystyczniejsze rysy charakteru. Nie widać, aby miał tendencję idealizowania Napoleona, ale też i nie poszedł w przeciwnym kierunku. W książce odzwierciedla się wybornie ewolucja wielkiego człowieka.

Poznajemy więc naprzód młodzieńca, który już po ojcowsku troszczy się o młodsze rodzeństwo; potem gwałtownego jakobina i korsykańskiego patriotę, dalej czule nastrojonego kochanka, zwycięskiego generała, męża stanu, mówiącego o najrozmaitszych zagadnieniach państwowych, naczelnego wodza i genialnego organizatora. Wreszcie

wchodzi na scenę stracony tytan, który tak pisze do księcia regenta Anglii:

Isle d'Aix, 14 lipca 1815. (W niecały miesiąc po bitwie pod Waterloo).

Wasza Królewska Wysokość — padłszy ofiarą walki stronnictw, które rozdzieliły mój kraj i wrogię usposobienia potęg europejskich, skończyłem karierę polityczną. Przyszłemu, jak Temistokles, proszę o miejsce przy ognisku domowym narodu brytyjskiego. Oddaje się pod opiekę praw brytyjskich — pod opiekę, do której roszczę sobie pretensję ze strony Waszej Królewskiej Wysokości, jako ze strony najsilniejszego, najwładzniejszego i najbardziej wspaniałomyślnego z moich nieprzyjaciół.

Widać, że Napoleon nie dobierał słów i nie myślał nad formą swej korespondencji. Czy pisał, czy dyktował, czynił to żywiołowo. Wyrazy ledwie mogły nadążyć jego myślom. Nie silił się na kwiecistość stylu. „Lituję się nad rządami, którego rozporządzenia są, zawsze literackimi wypracowaniami”, powiedział. Jest błyskawiczny i treściwy w wysłowieniu. Znajdzie u niego myśl głęboka, retorykę, wiedzę, namietność, natchnienie. Nie znajdzie jednej rzeczy — humoru.

Dla Napoleona korespondencja była rzeczą obowiązkową, poświęconą waż-

nym sprawom. Stąd zawsze jest w niej poważny. Wesół i dowcipny bywał w pogawędkach, które służyły mu za wypoczynek po trudach niezwykle czynnego życia. Tu zdobędzie się czasem co najwyżej na sarkazm lub ironję.

Oto parę zdań, wartych powtórzenia:

O wolności mórz:

Flaga wioząca z masztu handlowego okrętu, powinna mieć takie poszanowanie, jak chorągiew, wywieszona na wieży wiejskiego kościoła.

O zachowaniu się monarchy (do Eugenjusza Beauharnais, zrobionego w 24-ym roku życia wicekrólem włoskim):

Dopóki panujący nie nie mówi, jego możliwości są nieobliczalne. Nie powinien odzywać się, o ile nie wie, że jest najzdolniejszym człowiekiem w pokoju.

O paradzie (do najmłodszego brata, Hieronima, który jako król Westfalii, otaczał się w polu licznym dworem):

Na wojnie trzeba zaczynać jako żołnierz, być dalej żołnierzem, kończyć jako żołnierz. Nie trzeba ministrów, nie trzeba obcych attachés, nie trzeba ceremoniału.

O Prusakach:

Pruski książę to rzecz najnudniejsza pod słońcem.

A. E.

Ze świata książki

Jan Wielowieyski: Bohaterskie loty (Wyd. „Płomień” Warszawa, 1934). W szeregu krótkich, zwięzłych opowiadań przechodzi autor historię wszystkich głośniejszych wyczynów i rekordów lotniczych na przestrzeni ostatnich tylko pięciu lat. A ileż ich było, jak różnorodnych, jak imponujących! Wszystkie niemal narodziły się po tej i tamtej stronie „Wielkiej wody” stawały niezmordowanie do tego wielkiego wyścigu. Loty to były naprawdę „bohaterskie”, — żeby tylko przypomnieć Stan. Hausnera, czy lotnika hiszpańskiego Mello Franco, — czy wreszcie szczęśliwszych od tamtych: Matterna, Mollisonów, Adamowiczów, kpt. Skarżyńskiego, „śłodką Marysię” Hilsz, przeloty nad Mont Everest lub rajd powietrzny gen. Balbo.

Czytając tę interesującą książkę stwierdzamy z dumą, że Polska nie pozostała w tyle poza innymi, większymi i bogatszymi narodami, lecz owszem, zdobyła piękną i trwałą kartę w historii walk o podbój powietrza.

Książka pożyteczna i bardzo na czasie.

A. Kawczyński: „Mężczyźni dokoła Ewelny”, powieść. (Wydawnictwo Polskie, Poznań, 1934). Autor wprowadza nas w wir wielkich interesów i światowych transakcji, których osi jest angielski przemysłowiec Mac Faden. Przelewają się miliony, zawiązują się intrzygi polityczne, których świadkiem, a następnie po części i współnikiem staje

się jeden z bohaterów powieści, Polak, Franciszek Strubala, rozkochany w pięknej żonie przemysłowca, Ewelinie. Jak w kalejdoskopie akcja przenosi się z Bukaresztu do Warszawy, nad polskie morze, do Londynu, Kopenhagi, by wreszcie zaskoczyć czytelnika katastrofą, przypominającą poniekąd słynną afery Kreugera.

Mimo swej sensacyjnej treści książka posiada duże walory literackie: autor nie ogranicza się na prostym opisywaniu faktów, — lecz umie wniknąć głębiej w dusze swych postaci, ma swój oryginalny sposób patrzenia na świat i stosunki społeczne.

Ateneum Wileńskie, Rocznik IX (wyd. z zasiłku Funduszu kultury narodowej, Wilno, 1934). Wydany świeżo przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Wilnie rocznik za rok 1933/4 przedstawia się niezwykle bogato i interesująco, przynosząc dużo materiału historycznego. Znajdujemy więc obszerny artykuł R. Mienickiego o „Egzulantach Połockich”, Wład. Semkowicza o „Udziale wojsk litewskich Sobieskiego w kampanii roku 1683”, wreszcie Fr. Rawity-Gawrońskiego „Kozaczyzna za Dunajem”. Dalej szereg interesujących informacji o bibliotekach wileńskich, liczne recenzje i sprawozdania oraz bogatą bibliografię.

Historyk znajdzie w tem cennym wydawnictwie doskonałe źródło informacyjne, dotyczące przeszłości ziem W. Ks. Litewskiego. (kr.)

Drogocenna mapa

Przed jednym z tzw. sędziów policyjnych w Londynie stanął Albert Ernest Pickard, właściciel kina w Glasgow, pod zarzutem nieostrożnej jazdy samochodem. Przy przesłuchaniu pokazał mapę drogi, wyrysowaną na odwrotnej stronie banknotu. Chyba nie robił pan swojej mapy na nocie pięciofuntowej — rzekł sędzia. — Nie, — brzmiała odpowiedź — nie miałem przy sobie ani kawałka papieru prócz setki (100 funtów szterlingów jeszcze dzisiaj odpowiada zgorą 2 i pół tysiąca zł.).

Jaskinie naddunajskie

W Wimzy nad Dunajem prowadzi się od lat poszukiwania, które w tym roku doprowadziły do zajmujących Roboty, prowadzone pod kierownictwem prof. Vassicia, odsłoniły szereg mieszkań jaskiniowych. Przy każdym jest rodzaj śpiżni czy spiżarni. W jednej z takich spiżarni znaleziono dobrze zachowany zapas derenu. W głębokości 7 metrów atrafiono na resztki spalonych kości ludzkich i na żabę z wypalonej gliny. Nie po raz pierwszy znachodzi się żabę w grobie. Prawdopodobnie była ona i w tych stronach, jak w starożytnym Egipcie, symbolem nieśmiertelności. Prof. Vassici jest zdania, że mieszkania pochodzą z okresu archaicznej kultury greckiej.